



Wody Polskie

POZNAJCIE NASZYCH SPECJALISTÓW

Mateusz Letki

Ochrona przeciwpowodziowa to dziś jeden z najgorętszych tematów: z jednej strony woda, którą nie zawsze da się powstrzymać, z drugiej – widmo tragedii, jakich mogą doświadczyć mieszkańcy zagrożonych powodzią terenów. Gdy pojawia się sytuacja kryzysowa, ktoś musi tym wszystkim zarządzać – właśnie tym zajmują się centra operacyjne.

O to, w jaki sposób działają i na czym polega praca w takich instytucjach pytamy Mateusza Letkiego, kierownika Centrum Operacyjnego Ochrony Przeciwpowodziowej RZGW Gliwice.



Państwowe
Gospodarstwo Wodne
Wody Polskie



SPOKOJNIE, WSZYSTKO POD KONTROLĄ

Jaki jest najgorszy komunikat, jaki może Pan usłyszeć przychodząc do pracy?

Tzw. flash flood, czyli powódź błyskawiczna, która wiąże się w wystąpieniem nagłego, nawalnego deszczu rzędu np. sto milimetrów w ciągu kilku godzin. To typowa powódź miejska, doszło do niej ostatnio latem tego roku w Warszawie. Zwykle występuje wtedy problem z kanalizacją, która nie nadąża z przyjmowaniem tak dużej ilości wody. Szkopuł w tym, że tego nie da się wcześniej przewidzieć, nawet na kilka godzin przed. Często zdarza się, że IMGW przewiduje np. burze na terenie Śląska, ale my nadal nie wiemy, czy intensywny punktowy opad wystąpi w Gliwicach, Katowicach czy w Bielsku-Białej. Możemy jedynie obserwować obrazy radarowe, opady i przemieszczanie się strefy komórki burzowej. Ale nawet jeśli będę wiedział, że np. niedługo flash flood wystąpi w Bielsku-Białej, jedyne, co mogę zrobić, to wykonać telefon i powiedzieć: „Słuchajcie, za jakieś 15 minut możecie mieć niezły Armagedon”. Niestety, tylko tyle, bo przecież nikt przez ten czas nie poszerzy cieku czy nie wykopie polderu. To są nagłe sytuacje, na które naprawdę nie mamy wpływu.

Dlaczego zdecydował się Pan na taki zawód?

Pamiętam, jakie wrażenie zrobiła na mnie Powódź Tysiąclecia w 1997 roku, byłem wtedy młodym chłopakiem. Widziałem, jak ewakuowano moją rodzinę z Tarnowa Opolskiego... Chyba wtedy to wszystko się zaczęło. Chciałem działać, pomagać, mieć jakiś wpływ na sytuację. Gdy w 2010 roku przyszła

kolejna powódź, byłem już strażakiem Ochotniczej Straży Pożarnej i mogłem brać udział w akcji. A potem już poszło – cieszę się, że zajmuję się tym, czym zawsze chciałem się zajmować, tym bardziej, że na naszym terenie zagrożenie powodziowe jest jednym z większych w skali kraju.

Jakie trzeba mieć wykształcenie, aby pracować w centrum operacyjnym?

W centrach operacyjnych pracują specjaliści z różnych dziedzin, ale przeważnie absolwenci kierunków technicznych, takich jak inżynieria środowiska, hydrologia, gospodarka wodna, geografia. Sam jestem leśnikiem-rolnikiem, później skończyłem zarządzanie kryzysowe i pomoc humanitarną w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych, potem przez 6 lat pracowałem w Wojewódzkim Centrum Zarządzania Kryzysowego – gdzie zajmowałem się ochroną przeciwpowodziową, później byłem pracownikiem Zarządu Zlewni w Opolu. W końcu trafiłem do centrum operacyjnego i... nadal zajmuję się powodzią. Zarządzanie kryzysowe najwyraźniej jest mi przeznaczone.

*Pamiętam, jakie
wrażenie zrobiła
na mnie Powódź
Tysiąclecia
w 1997 roku,
byłem wtedy
młodym
chłopakiem.
Chciałem działać,
pomagać, mieć
jakiś wpływ
na sytuację.
Wtedy to
wszystko się
zaczęło...”*

Wyobrażam sobie, że Pańska praca przypomina trochę kino akcji...

Czasami (śmiech), ale na szczęście nie zawsze. Gdy nic specjalnego się nie dzieje, przychodzimy do pracy na siódmą i najpierw odbieramy dane hydrologiczne ze zbiorników wodnych z naszego terenu. Mamy 12 zbiorników przeciwpowodziowych, osoby, które nimi zarządzają, dzwonią do nas i mówią jakie jest piętrzenie wody na zbiorniku, jakie jest napełnienie w danej chwili, jaka jest rzędna zwierciadła wody, jaka jest rezerwa powodziowa, dopływ średni i chwilowy na danym obiekcie. Dostajemy też informację o ogólnym odpływie, abyśmy mogli zobaczyć, jak wygląda gospodarka wodna na konkretnym zbiorniku. Wiele zależy od pogody: jeśli dostajemy dane z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej mówiące o tym, że przez kilka dni będą padać ulewne deszcze, kierownik zbiornika musi wtedy przygotować obiekt na przyjęcie nadmiaru wody, a my odpowiednio wcześniej informujemy go o tym, co może nastąpić. Po odebraniu raportów wprowadzamy dane do IT GIS OKI (program odpowiedzialny za przetwarzanie i archiwizowanie danych) i informujemy różne służby (m.in. wojewodę opolskiego i śląskiego, Wojewódzkie Centra Zarządzania Kryzysowego, jednostki administracji samorządowej) o tym, co przez ostatnią dobę działo się na naszych zbiornikach, wysyłamy też raport do IMGW, bo to on jest odpowiedzialny za osłonę hydrologiczno-meteorologiczną naszego kraju. Pozyskujemy również informacje od Czechów, z którymi ściśle współpracujemy.

Mówi Pan po czesku?

Nie, ale mamy w innym dziale pracownika, który z zamiłowania i z powodu rodzinnych korzeni uczy się czeskiego, i gdy zachodzi potrzeba, zawsze nam pomaga. Na ogół jednak nie mamy problemu z dogadywaniem się z Czechami. Współpraca z nimi jest dla nas bardzo ważna, bo większe ryzyko powodzi w naszym regionie (rzeka Odra) zachodzi wtedy, gdy w Republice

Czeskiej spadną ulewne, długotrwałe oraz wielkopowierzchniowe deszcze. To po czeskiej stronie formuje się fala powodziowa, również tam powstaje fala kulminacyjna na Odrze, która wpływa do nas. Właśnie dlatego mamy podgląd na zbiorniki czeskie i na tamtejsze stacje opadowe. Czesi mają dobrze rozwiniętą służbę hydrologiczno-meteorologiczną, udostępniają nam też wszelkie informacje na stronach internetowych, informacje są co 10 minut aktualizowane.

Wasze centrum znajduje się w obszarze Wisły i Odry, która z rzek jest bardziej „łaskawa”?

Obie nie są zbyt łaskawe, ale Odra jest bardziej przewidywalna, choć niesie za sobą większe zagrożenie. Tak, jak wspominałem wcześniej, fala kumuluje się po stronie czeskiej, wiemy o tym mniej więcej jakieś trzy-cztery dni wcześniej, więc mamy czas, by się przygotować. Analizujemy pozyskane informacje, kiedy będzie wezbranie, jaką może mieć skalę... Odra daje nam czas, natomiast Wisła, która na terenie naszej zlewni znajduje się w górskim obszarze, potrafi zaskoczyć. Może się zdarzyć, że np. mały potok górski w momencie silnego opadu deszczu zmieni się w rwącą rzekę i spowoduje lokalne podtopienia.

Jak działa centrum operacyjne, gdy nadchodzi powódź?

Obowiązuje wtedy zasada: „wszystkie ręce na pokład”. Normalnie pracujemy we trzy osoby, jeśli jednak coś się dzieje, przechodzimy na 24-godzinny system pracy i pomagają nam wtedy pracownicy z innych działów.

Gdy dostaje Pan informację, że coś może się wydarzyć, co Pan robi w ciągu pierwszych trzech minut?

Pierwsze trzy minuty? To dużo, a czas jest wtedy na wagę złota (śmiech). Oczywiście czuję przyływ adrenaliny, ale też muszę maksymalnie się skoncentrować, rozdzielić zadania i zadbać o przepływ informacji. To jest najważniejsze: aby wszyscy zainteresowani na bieżąco wiedzieli, co się dzieje, co się może stać za kilka godzin, a co w nocy. Nie wolno siać niepotrzebnej paniki, ale trzeba poinformować różne instytucje, które wymieniłem wcześniej i lokalne władze. Naszym zadaniem jest prowadzenie działań stricte operacyjnych: koordynujemy prace prowadzone przez jednostki terenowe, takie jak gospodarka na zbiornikach przeciwpowodziowych, zakładanie szandorów (zamknięć mobilnych), zamykanie klap na przepustach, praca przepompowni. Samo zarządzanie kryzysowe zgodnie z prawem leży po stronie gminy. I tu obowiązuje pewna hierarchia, jeśli np. wójt/burmistrz zgłasza, że sobie nie poradzi, do akcji wkracza starosta, a wreszcie wojewoda. My nie zarządzamy samą akcją, ale staramy się pomóc, jeśli możemy. Pytamy np. czy komuś nie potrzeba sprzętu, typu koparka czy pompa – i jeśli jest taka możliwość – sprowadzamy go.

Jaki dzień w pracy szczególnie Pan zapamiętał?

To było wiosną – przyszedłem rano i gdzieś ok. 8.30 zadzwonił pracownik służby Kłodnica mówiąc, że wywrócił się żuraw samochodowy, który prowadził prace na Kanale Gliwickim przy remoncie linii kolejowej. Wyobraża sobie Pani?! Cały żuraw, potężna maszyna posadowiona na barce, wpadła do wody! Musieliśmy poinformować policję, zawiadomić Straż Pożarną oraz Wojewódzkiego Inspektora Ochrony Środowiska, bo istniało ryzyko wycieku ropy w tym samochodzie. Potem trzeba było sprowadzić specjalistyczny dźwig, który miał wyłowić żurawia z wody. Dźwig przyjechał w częściach na kilku tirach, trzeba go było złożyć, by przystąpić do akcji, a wcześniej odpowiednio przygotować teren. Wszystko trwało w sumie około tygodnia. Dla mnie ważne było to, że nikt nie ucierpiało. Na szczęście pracownik, który prowadził prace na pechowym żurawiu, wydostał się na brzeg i nic poważnego mu się nie stało.

Gdyby ktoś chciał pracować w centrum operacyjnym, jakie powinien mieć predyspozycje?

Na pewno musi mieć dużą odporność na stres, analityczny umysł, bo nasza praca w dużym stopniu polega na analizie rozmaitych danych i umieć pracować pod presją czasu. A – i koniecznie poczucie humoru, bo bez niego czasem naprawdę nie dalibyśmy rady (śmiech). Gdy nic szczególnego się nie dzieje, pracujemy od 7 do 16, potem działa telefon alarmowy, który biorę albo ja, albo któryś z moich pracowników. Czasami odbieram dwa, trzy takie telefony w weekend, zdarza się, że o drugiej w nocy, ale bywa też spokojnie. Jeśli nie ma zagrożenia powodziowego, to często zdarzają się np. telefony dotyczące zanieczyszczeń spuszcanych w weekend przez fabryki. Teren Śląska jest mocno zurbanizowany, więc takie „nocne zanieczyszczenia”, których ktoś nagle się pozbywa, to spory problem.

Czego życzyć Panu i Pańskim pracownikom?

Wytrwałości, cierpliwości, odporności – z resztą damy sobie radę (śmiech).

To dodam jeszcze: „i żeby alarmowy w nocy nie dzwonił”.
Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: **Jowita Hakobert**